№ 52.

WARSZAWA

29 Grudnia

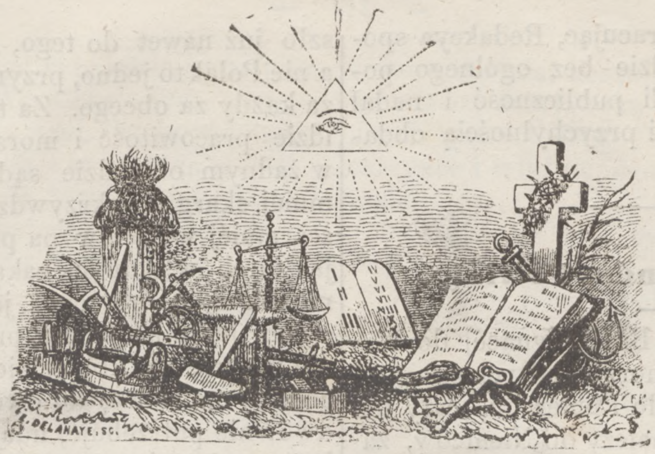
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.



„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.

**TREŚĆ**: *Od redakcyi.—O lewém dolném Powiślu.—Opowiadanie panienki. Chrzciny. Historya Sgo Kazimierza.—Gawędy warsztatowe: O szkółkach wieczornych dla młodzieży rzemieślniczéj (dokończenie).—Różności: Zapis panny Kamili Wolskiéj, Ofiara dla p. p. Maryawitek w Częstochowie.*

## Od Redakcyi.

Kończąc szósty rok istnienia naszego pisma, uważamy za obowiązek, wskazać kierunek, w jakim nadal Czytelnią prowadzić będziemy.

Zadaniem Czytelni Niedzielnéj jest kształcenie i rozwijanie ludu, za pomocą zdrowego pokarmu religii i nauki. W tym celu, Redakcya umieszczać będzie prace, które dadzą się określić pięciu następującemi działami:

Dział pierwszy, obejmie wiadomości z religii i moralności chrześcijańskiéj. Religia jest tłem, na którem naród snując pasmo swojego historycznego żywota, stanął na stanowisku chrześcijańskiego posłannictwa w ludzkości. Ona kierowała życiem ojców naszych, ona też powinna być fundamentem umysłowéj samodzielności ludu, powołanego przez oswobodzenie jego pracy, do stanowiska obywatelskiego w kraju. Starając się o chrześcijańską zasadę we wszystkich artykułach swego pisma, Redakcya jest tego przekonania, iż prace jéj rozsieją ziarna prawdziwéj miłości, która łączy porożnione i wytwarza budujące czynniki w społeczeństwie.

Dział drugi poświęcamy wiadomościom z Historyi Polskiéj i Powszechnéj, pojmowanéj z punktu współczesnych potrzeb. Do działu tego, należeć także będą żywoty historycznych ludzi i żywoty włościan mogących być wzorem dla innych, prócz tego opisy ludu, kraju i podróże, jako też wiadomości z dziedziny społecznych i narodowych pojęć, do których zrozumienia i zastósowania prowadzi historya.

W dziale trzecim, umieszczać będziemy powiastki ludowe, opowiadania i poezye, kształcące uczucie i serdeczne pojęcie życia.

W dziale czwartym, zamkniemy wiadomości z nauk przyrodzonych, gospodarczych i technicznych przystępnie wyłożone.

Dział wreszcie piąty p. t. Różności, poświęcamy wiadomościom o szkołach nowo lub dawniéj założonych i innym faktom życia ludowego, bieżącego interesu.

W tych granicach pracując, Redakcya spodziewa się, że nie będzie bez ogólnego pożytku pracowała, jeżeli publiczność i nadal współpracownictwem i przychylnością obdarzyć ją raczy.

---

## O lewém dolném Powiślu.

Począwszy od rzeki Brdy płynącéj do Wisły, na północ aż do morza Baltyckiego, od Wisły na zachód aż do Pomeranii, cały ten kraj, jakkolwiek dziś należy do Niemców, zamieszkały jest przez lud polski. Wyjąwszy małą przestrzeń miasta i okolicy Gdańska, na całym tym obszarze ziemi słyszysz mowę polską. Po kościołach odmawiają tylko polskie pacierze, modlą się na książkach polskich, śpiewają pieśni nabożne polskie. Chociaz na tablicach drogowych, dla nadania pozoru, że to ziemia niemiecka, poumieszczano niemieckie wsi i miast nazwiska, dobry ten lud pamięta, że to jest ziemia polska i zawsze je po swojemu mianuje. Zawsze u niego Berend to staropolski Kościerzyn, Schenek Skarzew, Neustad Weirow, Dirschau Tczew, Hohenstein Pszczółki, Czehlau Ciechoczew, Buschpol Boże-pole i t. d.

Mówiąc o tym ludzie niepodobna pominąć jego trzeźwości, czystości, pracowitości i moralności. Są tam parafie z 1000 i więcéj pobożnych złożone, a pomiędzy niemi zaledwie że jedna lub dwie osoby się znajdą, coby do zgromadzenia wstrzemięźliwości nie należały. W każdéj parafii jest bractwo trzeźwości. Nabożeństwa miesięczne i doroczne tego bractwa są najuroczystsze, najliczniéj zwiedzane. Bractwa te podejmują także starania około czystości i ozdoby kościołów, szczególniéj ołtarze i obrazy Matki Boskiéj ich staraniem są ustrojone i ozdobne, suto światłem oświecone. Każdy kościoł jest pięknie schludny, czysty i odświeżony starannie. Znać, że o dom Boży bardzo tu ludziom chodzi.

Na rano i koło południa piją tu na rozgrzanie i poczęstne kawę, możniejsi wino, w towarzystwach i na zabawach piwo. Prawie nie ujrzysz Polaka, coby pił gorzałkę, a pijanicy polskiego, to zdaje się, jakoby w całéj tu ziemi ani jednego nie było. Gdy kto pije gorzałkę, wszyscy patrzą na niego ze wzgardą. Przyszło już nawet do tego, że w okolicy pijak a nie Polak to jedno, przynajmniéj pijaka uważa każdy za obcego. Za trzeźwością w parze idzie pracowitość i moralność. Stosunkowo w żadnym obwodzie sądowym nie zachodzi mniéj skarg o pokrzywdzenie cudzéj własności, mniéj wyroków na przestępców, złodziei, jak tutaj; w żadnym zakątku ziemi polskiéj nie ma mniéj żebractwa, jak w stronach tutejszych. Jak pijaków tak próżniaków prawie tu nie ujrzysz. Ci, którzy nie mają własnéj ziemi, chodzą na robotę do dworu, a kiedy ich już dwór nie potrzebuje, udają się na zarobek do lasów, gdzie się zajmują karczowaniem, biciem sążni, tarciem tarcic, a na lato flisują drzewo lub za kośbą ciągną w niziny Nadwiślańskie, zkąd na jesień wracają. Niektórzy trudnią się wyrabianiem biczysków, luśni, opałek, kobiałek i tym podobnych narzędzi i sprzętów.

Zarabiają oni w przecięciu dziennie od 2 do 3 złp; a ponieważ pracy nie brak, naturalną jest rzeczą, że przy powszechnéj trzeźwości i oszczędności lud tutejszy ma zapas kartofli na cały rok i opał z blizkiego lasu na zimę i kęs chleba na pokarm, w święta kawałek mięsa, a przyodziany jest czysto i chędogo, szczególniéj kiedy w niedzielę do kościoła lub w dzień targowy do miasta się udaje. Mężczyzni ubierają się w sukmany granatowego koloru, wełniane, własnéj roboty. Kobiety obwiązują głowę jedwabnemi chustkami koloru czarnego, zielonego i czerwonego w kratę, lubią także koronką czarną oszywać te chustki. Spódnice fałdowane i kaftanik jak u Wielko-Polek granatowy, nadają im jakąś poważną, dostojną postawę. Piękną jest, bo trzeźwą, schludną i porządną postać tutejszego ludu, i inaczéj być nie może, gdyż przy trzeźwości i pracowitości, dusza jest moralną i zdrową, serce radosne bo czyste. Śmiało przeto powiedzieć możemy, że lud lewego dolnego Powiśla w szczerości, prawości, porządku i czystości nie ustępuje żadnemu innemu ludowi ziem polskich a w moralności i trzeźwości jest jednym z najpierwszych.

Chłopi posiadający ziemię a jak ich tu nazywają gbury, mają się bardzo dobrze. Między Tucholską puszczą a Wisłą, od Czarnéj wody ku Gdańskowi na lewo aż ku Pomeranii, napotykają się wsie złożone jakby z kilku folwarków z pałacami. Wsie n. p. Pomyje, Rudno, Lignowy położone między Staro-

gardem a Gniewem, są w połowie jakby pałacami zabudowane. Właściciele tych gburstw trzymają po 10 do 24 koni, jeżdżą w kolasach i wozikach na rysorach a w szorach czasem w srebro okutych. Szkoda, że ich oświata, ukształcenie umysłowe, szlachetność uczuć nie podążyła za ich dobrym bytem, lecz znacznie w tyle pozostała. Są to bogaci wykwintnie mieszkający, kosztownie ubierający się i jeżdżący chłopi - panowie. Ci częściéj niż komornicy używają wśrod siebie języka niemieckiego, lubo z ojców mówią po polsku, są katolicy i nie piją gorzałki. W obejściu się z ludźmi bywają nadęci i pyszni, i w ogóle co do moralności daleko niżéj stoją od komorników. Zawsze to tak bywa, gdy się tylko o bogactwa, o zamożność, a nie o naukę i podniesienie serca ludzie starają.

Mieszczanie są tu po większéj części rzemieślnicy. Im bliżéj Wisły i kolei żelaznéj, tém więcéj niemieccy, im bliżéj ku leśnym okolicom, tém więcéj polscy. Im mniejsze miasteczko, tém więcéj polskie, im większe tém więcéj niemieckie. Po większych tylko na przedmieściach w nizkich chatkach mieszkają Polacy. Ci Polacy mieszczanie, rzemieślnicy, czasem i rolnicy, równie jak ich bracia wiejscy odznaczają się trzeźwością, pobożnością i dobrocią serca, czytają polskie książki wychodzące w Brodnicy i w Chełmnie, i oni to najwięcéj miłują polski obyczaj i mowę, którejby Niemcy radzi byli ich pozbawić, oni to najwięcéj miłują kraj swych ojców i ziemię, w któréj i oni kiedyś stare swoje kości złożą.

---

## Opowiadanie panienki.

*Chrzciny. Historya Śgo Kazimierza.*

---

W Niedzielę były chrzciny u Matysów, a panienkę proszono w kumy; trzymać miała z Józefem, którego sobie sama za kuma wybrała. Pan Bóg dał chłopaka tęgiego; staremu Józefowi aż ręce omdlały od trzymania go w kościele, a jeszcze hustać i bujać go trzeba było, bo darł się okropnie, z czego matka wróżyła, że się wychowa. W Sobotę, panienka wyszykowała cały ubiór: sukienkę białą i długą oszytą tiulikiem; czapeczkę z niebieską wstążeczką jako chłopcu, dziewczyna byłaby różową dostała; koszulkę, powijaczek, wszystko własną uszyła ręką i zaniosła wieczorem do Matysowéj chaty. Matysowa siedziała na skrzynce i właśnie dziecko przy piersi trzymała.

— Cóż tam mój syn chrzestny porabia? rzekła panienka.

— A ssie, powiedziała Matyska, odsuwając dziecko od piersi, które jeszcze dobrze oczków otworzyć nie mogło.

Panienka usiadła obok Matyski, nachyliła się nad dzieciątkiem, zaczęła do niego śmiać się, aż spojrzało niebieskiemi oczkami i znów je co tchu zamknęło. Właśnie też weszła Koźlina, pomogła Matysowi ogień rozpalić, a potem stanęła przy córce i przy panience i rzekła:

— Boi się biédactwo na świat spojrzéć, bo wié, że na swiecie biéda.

Dziecko niby zrozumiało słowa babki i otworzyło szeroko oczy, jakby przez to chciało pokazać, że się nie boi spojrzéć biédzie w oczy.

— A widzicie! wołała panienka, jak to spogląda śmiało, co mu ma być biéda? Jak Pan Bóg da że się wychowa, to go nauczymy, żeby się biédzie nie dał. Jutro od chrztu, katolikiem zostanie. A wiecie wy moi ludzie, że chrześcijanin prawdziwy, to człowiek na wszystko odważny i wytrwały, bo już jego siła jest z Boga, a byle się Go trzymał i do Niego zawsze uciekał, to Bóg go na wszystko złe umocni.

Przecież to wkrótce potem jak Pan Jezus żył i nauczał na ziemi, i jak ludzie w Imię Jego chrzest przyjmować zaczęli, poganie różne męki na chrześcijan wymyślali, aby tylko wiary prawdziwéj się wyparli. Wiara jednak i chrzest taką siłę dawały, że i ogniem ich palono, i dzikie zwierzęta, lwy, tygrysy na nich puszczano, włosy im zdzierano i kości rozrąbywano, a oni dla tego stali przy prawdzie. Tacy to, widzicie, byli ci piérwsi chrześcijanie Kiedy oni mogli zwyciężyć tyraństwo ludzi, okrucieństwa zwierząt, ból i trwogę, toć i dziś każdego człowieka, co się obietnic danych na chrzcie nie wyprze, chrzest tén święty umocni na wszystkie przygody życia.

To dzieciątko, mówiła daléj panienka, biorąc je z rąk matki, to dzieciątko zaniesiemy do kościoła po wiarę, a jak będzie starsze, wyuczymy go czego ta wiara wymaga od człowieka. A jak będzie chrześcijaninem ze chrztu

i z wiary, z mowy i z uczynków, to go nic nie ustraszy i niczemu się nie da. No, a jakże nazwiemy chłopaka? spytała w końcu panienka.

— Ha! jak sobie tam panienka obierze, nam wszystko zarówno.

— Może macie jakie imię upodobane, toć przecie od rodziców zależy.

— A może być Antoni, odezwał się nieśmiało Matys, ale gdy żona groźnie spojrzała na niego, umilkł, a matka dodała:

— Już niech panienka sama wybierze.

— Mogłoby być i Antoni, kiedy Matys tak chce?

— Albo on tam wié, już niech panienka sama obierze.

— Kiedy ja mam wybierać, niechże mu będzie tak jak starszemu memu bratu Kazimierz. Niechże tu we wsi będzie pamiątka jego imienia, bo może oczy nasze więcéj go tu już nie ujrzą. No jakże chcecie?

Matys otworzył usta, chciał coś mówić, ale go matka szturchnęła w bok, a panienkę pocałowała w rękę i rzekła:

— A dobrze niech będzie i Kazimierz.

— Ha! niechże to już tam tak będzie, rzekł Matys.

Nazajutrz po mszy świętéj, dobrodziéj chrzcił dziecko dając mu imię Kazimierz. Pięknie było patrzéć na starego Józefa, jak stał poważnie w swojéj granatowéj sukmanie. Pięknie było patrzéć i na panienkę, bo tak jakoś od serca odpowiadała na zapytania księdza.

— Czego żądasz od kościoła?

— Wiary.

— Wiara coć dawa?

— Żywot wieczny.

A kiedy przyszło powtórzyć, odrzekasz się złego ducha, pychy i wszystkich spraw jego, to powiedziała wyraźnym i silnym głosem. A potém oczy podniosła w niebo i znać było, że całém sercem się modli, żeby dziécię całe życie spraw złego ducha się strzegąc, wiecznie Panu Bogu służyło.

Jak już bryka z powrotem przed dwór zajechała, panienka wysiadając, powiedziała do Józefa i Matysa:

— Do zobaczenia kumie jeden i drugi. Przyjdę do was zaraz po obiedzie, a mojéj kumie powiedźcie, że nasz syn da Pan Bóg wychowa się zdrowo, bo krzyczał przy chrzcie, aż się na cały kościół rozlegało.

Jakoż dobrze jeszcze przed zmrokiem przyszła panienka do Matysowéj chałupy. Za nią Marysia przyniosła kosz piwa i placek biały, który panienka na dzisiejsze chrzciny upiec kazała. Było tam wszystko, a nawet i wódka, ale przy niéj nikt nie śmiał pić; lecz piwem za to i plackiem częstowała sama panienka.

— A gdzież mój syn, mój Kazio?

— A spi oto na łóżku, jakem go nakarmiła po powrocie od chrztu, tak spi dotychczas.

Spi kruszynka. Dajże Boże, żeby się nam szczęśliwie wychowało, Panu Bogu na chwałę, a ludziom na pociechę!

— Bóg zapłać panience za dobre słowo.

— A i czegoż mi bierzecie dziecko Jędrzejko? Toć mu nie musi być źle u mnie, kiedy nie płacze.

— Bogać ta ma być źle? ale myśmy go jeszcze pod ławą nie położyli.

— Pod ławą! a to po co?

— A to panienka nie wié? Już taki zwyczaj, mówiła Koźlina.

— Tak, tak, leż pod ławą, powiedziała Jędrzejka, kładąc dziécię na ziemię i ucz się pokory. Pamiętaj, żeś nędzny i nagi z żywota matki wyszedł, że z łaski najprzód Boskiéj, a potem ludzkiéj masz odzienie i wyżywienie; że Bogu i ludziom odsłużyć musisz w pokorze, aż cię znów umarłego ręce ludzkie ubiorą do trumny, włożą jak kładli do kolebki i na ostatni sen zaśpiewają. Wysłuż że się ludziom za to wszystko jak podrośniesz.

— A jakżeście go ochrzcili, spytała Szymkowa, wyjmując dziécię z pod ławy.

— A, Kazimierzem.

— Kazimirek będzie. A zkądże? Kazimierza podobno aż w Marcu.

— Panienka tak chciała, bo starszemu naszemu paniczowi Kazimierz na imię, będzie więc we wsi jego pamiątka.

— Czy wam się niepodoba to imię?

— A! czemu nie? Kazimierz, Kazimirek, to to ładnie!

— Mnie się też spodobało, bo i mój brat tak się nazywa i święty Kazimierz patron jego był królewiczem polskim, i król polski, który opiekował się chłopami jak dziećmi rodzonemi, był Kazimierz.

— Dawno też żył Śty Kazimierz moja panienko?

— Ha, żebyście chcieli, tobym wam o nim opowiedziała. Ale to długa historya, bo trzeba przytem o niejednéj rzeczy wspomnąć i powiedzieć, nie tylko o ojcu tego królewicza, ale i o dziadku jego, i o Krakowie, i o Wilnie. Chcecież posłuchać?

— Prosimy moja panienko, prosimy.

— Ród Śgo Kazimierza był z Litwy. Litwini długo byli poganami. Może byliby prędzéj się pomiarkowali, a Bogu prawdziwemu i Matce Najświętszéj służyć zaczęli, ale na swoją biédę mieli za sąsiadów Niemców, co ich niby nawracali, a w rzeczy saméj krzywdzili, zdzierali, zabijali, miasta zaś palili, a wsie pustoszyli. Nie dziw więc, że z takimi nauczycielami, tępo szła nauka wiary, a lud nienawidząc Niemców, Krzyżaków, trwał w pogaństwie. Ale się Bóg zmiłował nad tym ludem i zmiłowanie przez Polskę zesłał. Był wtedy książęciem na Litwie Jagiełło, poganin jak i drudzy, ale już miał serce miększe dla prawdziwéj wiary i ucho powolniejsze na słowa prawdy. W Polsce była wtenczas królowa Jadwiga, panienka młoda, dobra i piękna jak anioł. Posłyszał o niéj Jagiełło i zapragnął ją miéć za żonę. A zapragnął tak bardzo, że zaraz wysłał posłów do Krakowa, gdzie wtedy królowa mieszkała. Oznajmić jéj kazał, że jeżeli za męża go przyjmie, to on z poganina chrześcijaninem zostanie, lud swój do chrztu przywiedzie, a kraj swój litewski z polskim krajem złączy. Królowa co prawda miała już w sercu inne kochanie i innemu ojcowską jeszcze wolą zaręczona była. Ale że nad wszystko kraj swój i chwałę Boską miłowała, wyrzekła się więc kochania swego, a Jagielle wiarę ślubowała i dochowała mu ją aż do śmierci. Dochował też i Jagiełło obietnic swoich, chrzest Śty przyjął, Litwinów do chrztu przywiódł i z Polską ich złączył, tak że odtąd dla Polaków i Litwinów jedna była wiara, jeden król i dola jedna. Żebym to ja wam moi ludzie zaczęła opowiadać, jak się ten chrzest odbywał, jak tam na Litwę królowa Jadwiga pojechała, a jaka to ona była pobożna, jaka miłosierna, a ile to pamiątek po niéj zostało, a jaki to wtedy wspaniały był ów Kraków, a jak to potem Jagiełło zbił tych Niemców, Krzyżaków, co się tak Litwie i Polsce nadokuczali; jakbym to zaczęła wszystko opowiadać, tobym chyba ani dziś ani jutro nie skończyła, a mielibyście co słuchać, bo to nie mała rzecz, historya miłosierdzia Bożego nad dwoma złączonemi ludami. Ale będziemy przecież nieraz jeszcze o tém gadać, a dziś to tylko do Śgo Kazimierza patrona Polski i Litwy prowadzę.

Ten zaś Kazimierz był wnukiem owego Jagiełły, co piérwszy chrzest przyjął i piérwszy w Polsce i Litwie królował. Nie był ci on wnukiem owéj pięknéj Jadwigi, bo ta niedługo umarła wraz ze swoją córeczką maleńką. Z czwartéj dopiero żony swojéj Zofii, doczekał się podeszły już Jagiełło dwóch synów: Władysława, co broniąc wiary świętéj od Turków, na wojnie oddał młode życie pod Warną, i Kazimierza Jagiellończykiem zwanego. Ten Kazimierz Jagiellończyk długo w Polsce panował. We wszystkiem mu Bóg błogosławił, a w potomstwie niemniéj jak w innych rzeczach. Samych synów miał sześciu, a wszyscy u Boga się zasłużyli, a u ludzi wsławili. Najstarszy był Władysław, ledwie z dziecka wyrósł, już ci go Czesi, a potem Węgrzy królem swoim obrali. Drugi był nasz święty Kazimierz, o którym więcéj osobno powiemy; potem trzech z kolei po ojcu panowało, to jest: Jan Albert, Aleksander i Zygmunt Starym przezwany, najmłodszy zaś Fryderyk został biskupem, a potem wyższym jeszcze nad biskupa, kardynałem. Taką to pociechę miał Kazimierz Jagiellończyk z synów swoich. Prawda, że ich też chował dobrze, nauczycieli mądrych a pobożnych im przyjmował, zbytków żadnych, choć królewskim synom niedozwolił, a złość każdą surowo karcił.

Wzrastali też w cnotach i w mądrości młodzi królewicze, a najpiękniéj wśród nich wzrastał ów drugi z rzędu królewicz Kazimierz. Ten krótko żył na téj ziemi; ale ów krótki żywot prowadził chwalebnie i chwalebnie go téż dokonał. Od dzieciństwa lubił czytywać i rozpamiętywać słowo Boże i w każdém je uczynku stósować. Lekce sobie ważył królewskie urodzenie, nadzieję panowania i używania uciech światowych. Tym, co mu stan jego z pochlebstwa wychwalali, odpowiadał: „Jestem ja śmiertelny człowiek, a choć królewicz wszystkim nędzom ludzkim podległy. Urodziłem się podobny wszystkim, w niedołęztwie niemowlęctwa, z ziemim jak inni utworzony, temże oddycham powietrzem co i drudzy, i także na ziemię wyrzucony, piérwszy głos mój

jako i wszyscy wypuściłem płacząc. Najważniejsza rzecz człowiekowi, mawiał, wiedzieć po co stworzony został i do jakiego końca ma zmierzać; tać to jest mądrość prawdziwa, a przeciw téj mądrości bogactwa za nic są. Drogie kamienie i wszystkie srebra i złota, jako piasek i błoto przeciw niéj.“ To téż jako tę mądrość wysoko sobie ważył, tak się téż pilnie w niéj ćwiczył, a rozważał po co Bóg dał człowiekowi duszę nieśmiertelną, jako najlepiéj według rozkazania Jego odprawować tę drogę swoją na ziemi i jakiego się po niéj końca spodziewać. Zdarza się często, że Bóg w miłosierdziu swojém, gorących życzeń dusz pobożnych rad wysłuchuje. Pragnieniem świątobliwego królewicza było, aby na śmierć ojcowską nie patrzał, a sam pierwéj żywota dokonał, zanim zgon królewski, jemu drogę do tronu otworzy. Tak się téż stało. Na nauce, na ćwiczeniu w cnocie, na uczynkach miłosiernych, młody wiek strawił. Późniejszego nie doczekał na ziemi i poszedł królować w niebie, ziemskiego królowania niedostąpiwszy. Umarł w Wilnie, mieście stołeczném Litwy, za sprawą dziada jego ochrzczonéj i z Polską złączonéj, i tam pochowane ciało jego niewinne. Cudem nie jednym przy grobie jego dokonanym, dowiódł Bóg, jako mu miłym był ten żywot świątobliwy. Umarłą jedną panienkę rodzice w wielkiéj żałości jego modlitwom publicznie zlecili, a modlitwy te umarłą do życia napowrót wzbudziły, co się szeroko po całéj Polsce i Litwie rozgłosiło. Polska i Litwa obrały go też swoim patronem, i do dziś dnia do jego przyczyny się uciekają.

— Pamiętam, odezwał się na to Marek, pamiętam, jakem był w Wilnie, pokazywali mi wtedy Litwini grób tego wspólnego patrona naszego. O! witali nas też wtedy serdecznie, a radowali się nami! Będzie to temu już z pięćdziesiąt lat?! O! będzie i dobrze... nie, niema jeszcze, roku brakuje. Eh co tam o tem gadać! machnął ręką, zwiesił głowę i zamilkł po swojemu.

— A tośmy się zagadali, zawołała panienka oglądając się, całkiem się już prawie ściemniło. Czas już na mnie, zostańcie z Bogiem, a niechże się z moją kumą i moim Kazimierkiem pożegnam. Bądźcie zdrowi Marku. Jak będę miała czas, to przyjdę do was, i opowiecie mi jeszcze jakeście to wtedy na Litwę weszli.

— Czy tam moja biédna głowa przypomni?

— Jak głowa nie przypomni, to się zapytacie serca, jak ono się wtedy radowało a rozpływało; po sercu sobie przypomnicie.

— Dobranoc panience, dziękujemy za wszystko.

— Dziękujemy za historyą o królewiczu Kazimierzu.

— Bądźcie zdrowi!

I odeszła wreszcie panienka, rozeszli się wszyscy niedługo potém, a Kazimirek spał już dawno w kolebce, i nic nie wiedział, ani o tém, że sukienkę niewinności na chrzcie świętym przywdział, ani o tém, że to dla niego zeszli się ludzie do chaty, ani o tém że królewicza świętego za patrona dostał, ani że pod ławą leżał, żeby się uczyć pokory. A może też i słyszała to wszystko dusza jego, może mu aniołowie o tém we śnie powiadali, bo to mówią, że małe dziecko, jak we śnie się uśmiechnie, to znać że z aniołami gada. On się też uśmiechał, jak była mowa o starém Wilnie, o starszym Krakowie, o Litwie, Koronie i o świętym patronie. Może to wszystko aniołowie pokazywali jego duszy, a dusza uśmiechała się do tego we śnie. A kto to wié?

---

## Gawędy warsztatowe.

*O szkółkach wieczornych dla młodzieży rzemieślniczéj.*

*(Dokończenie.)*

— W szkołach niedzielnych terminatorzy wiele mogą skorzystać, rzekł w dalszym ciągu rozmowy p. Stelmąchewicz.

— Tak, ale też na te szkoły, całe naukowe ukształcenie rzemieślnika wkładamy. Czy one jednak mogą to skutecznie wypełnić, warto się zastanowić. Mnie się zdaje, że mianowicie dla początkujących, są one niedostateczne; terminator cały tydzień ani pomyśli o nauce, jakże więc może korzystać z lekcyi niedzielnéj, kiedy się do niéj nie przygotuje. I tak te parę godzin co sześć dni poświęcane nauce, przechodzą bez należytéj korzyści. jakąby osiągnąć

można było, gdyby terminatorzy dobrze się na lekcye w tygodniu przygotowywali.

—A gdzież to oni się będą przygotowywali?.. może im jeszcze korrepetytorów przyjmować? zapytał któryś z gości.

— Nie, powiedziałem, że nikt od was nie żąda tego, czego nie możecie zrobić. Inna jest na to rada... i w obcych krajach znalazła ona powszechne u rzemieślników i fabrykantów przyjęcie. Wiécie, iż w wędrówkach moich po obczyźnie zawadziłem także i o Anglią a rok cały byłem w Londynie, jéj stolicy; zostawałem tam u majstra p. Duun, który pewnego razu podjął się roboty dla dzieci pracujących w fabryce świéc w Belemont. Otóż majster wysłał mię tam na miejsce, abym pobrał miary i ułożył się o szczegóły roboty. Chętnie wybrałem się w drogę, aby po mgle i dymach Londynu, odetchnąć świeżém powietrzem pól. Zawiodłem się jednak nieco, bo koléj żelazna szybko przewiozła mię na miejsce przeznaczenia. W fabryce Belemontskiéj stanąłem koło wieczora, a zameldowawszy się naczelnikowi, zapragnąłem zobaczyć dzieci, aby wziąć na nich miarę. Spodziewałem się zastać ich pracujących w zakładzie, lecz powiedziano mi, że są w szkole. Mocno mię to zdziwiło i zaciekawiło, prosiłem więc mego przewodnika, aby mi tę szkołę pokazał. Chętnie się na to zgodził, tém więcéj, gdy usłyszał, że jestem cudzoziemcem i Polakiem. Przez kilka izb fabrycznych wprowadzono mię do niewielkiéj salki, w któréj poustawiane stoły i ławki zajęte były przez dzieci. Kilka lamp oświetlało dostatecznie pokój, w rogu którego stała ogromna tablica i stoliczek nauczyciela. Dzieci było z pięćdziesiąt: wszystkie zajęte pilnie pracą, lekcya trwa bowiem tylko godzinę, poczem uczniowie udają się do fabryki pracować, a ich miejsce zajmują inni robotnicy. Oddziałów szkolnych jest pięć i w każdym mniéj więcéj po stu uczni, fabryka bowiem Belemontska przeszło półtysiąca dzieci zatrudnia. „Widzisz pan urządzenie naszych szkół w pełnym biegu, w zupełném zakwitnięciu, co jest owocem długich prac i starań,“ rzekł do mnie mój przewodnik. „Skromne jednak były tego wszystkiego początki. Oto kilku malców w godzinach po ustaniu pracy, gromadziło się na wspólną naukę czytania i pisania. Widząc to dyrektorowie nasi udarowali chętnych uczniów nieodzownemi książkami i materyałami piśmiennemi.

Wywarło to wpływ bardzo zbawienny, dzieci bowiem w większéj liczbie zaczęły się gromadzić w jednéj z sal fabrycznych, a uprzątnąwszy ze stołów skrzynki ze świécami, zmieniały ją chwilowo w szkołę. Nie było jeszcze professorów, ci więc z malców, co więcéj umieli, uczyli mniéj umiejących. Pokazało się to jednak wkrótce niedogodném, i dzieci naprzód to spostrzegłszy udały się z prożbą do dyrektorów, aby im założono szkołę formalną. Dyrektorowie czekali tylko podobnéj prożby, chętnie się więc na nią zgodzili: wyznaczono osobne salki, sprawiono ławki, tablice, książki i zamówiono kilku nauczycieli z miasteczka. Wkrótce zaprowadzono podobne szkoły dla dziewcząt pracujących w fabryce, a oprócz tego urządzono różne warsztaty spokrewnione z fabrykacyą świéc dla chłopców i wyższy zakład naukowy dla tych uczniów, którzy pokończywszy kursa wyższych szkół z pożytkiem, pragną się daléj kształcić i doskonalić naukowo i technicznie. Wszystkie te urządzenia, których szczegóły pomijam, w ciągu lat kilku kosztowały fabrykę 70,000 złp.

Zdziwiłem się nad chęcią właścicieli fabryki łożenia tak ogromnych nakładów. „Nie jest to nic wielkiego w porównaniu z korzyściami“ odparł mój przewodnik. „Rozumie się, zwrotu téj summy bezpośrednio nie można się spodziewać, ale kapitał ten dobrze się procentuje. Z rozwinięciem zdolności i podniesieniem moralności robotników, prace ich zaczęły być wykonywane sumienniéj i lepiéj; prócz tego, dzięki rozwojowi w szkole, dzieciom można było powierzyć takie roboty, jakie w innych fabrykach wykonywali tylko dorośli, więcéj płatni robotnicy. Prócz tego uczuwaliśmy dawniéj wielki brak zdolnych robotników: dziś rekrutujemy ich z pomiędzy odznaczających się uczniów szkół naszych, z wielkiém powodzeniem. Mamy ludzi moralnych, umiejętnych, bośmy ich sami sobie przygotowali, sami ich wykształcili. Jak kto sieje, tak zbiéra.“ Prawdę mówił mój przewodnik, ciągła szkolna nauka ukształciła z tych dzieci pysznych robotników, bardzo uczciwych ludzi. Lecz Anglicy umieją zachęcać do nauki i nie żałują na to trudów i kosztów. Sam byłem świadkiem nazajutrz w niedzielę, jak po południu wszyscy malcy ze szkoły ze swemi profesorami, wybrali się

na przechadzkę parę mil angielskich nad morze. W miejscu tém wznosił się przepyszny zamek, rezydencya biskupa. Szanowny ten duchowny dowiedziawszy się o przybyciu malców, zaprosił ich wszystkich do parku przy swém mieszkaniu, sam z niemi rozmawiał, egzaminował ich, a uczęstowawszy podwieczorkiem, odprawił uradowanych i zabawionych do domu. Później w Londynie widziałem szkół takich wieczornych mnóstwo, a każdy rzemieślnik terminatorów posyła do najbliższéj.

— Ba... może to robić, bo szkoły są urządzone wszędzie: ale u nas? zapytał p. Stelmachewicz.

— Ale u nas szkół takich dotąd niema, podchwycił p. Stanisław, bo nieuznawano ich potrzeby. Niechno tylko kilkunastu rzemieślników zamieszkałych w blizkości, jak my naprzykład, oświadczy się z gotowością posyłania terminatorów do szkoły wieczornéj, a zaręczam, że natychmiast znajdą się osoby, co takową szkołę urządzą. Oto ja sam wiem, iż korrepetytor moich dzieci bardzo porządny chłopiec, uczeń akademii, uradził ze swemi kolegami i innemi osobami, iż bezpłatnie lekcye takie dawać będą, gdyby szkoły urządzone zostały.

— Dobrzeby to było... pokiwał głową p. Bótnicki... ale toby dopiero trzeba szkołę urządzać, lokal nająć, oświetlić, ocieplić, ławki posprawiać... a zkąd tu na to wziąć pieniędzy, kiedy rzemieślnicy dziś ogólnie niebogaci?

— To też zanim to wszystko się zrobi, zacznijmy bardzo skromnie... bez szumu i puku. Oto ja przy warsztacie mam jeden dość obszerny pokój, niech się terminatorzy wasi do niego schodzą na naukę, co dzień od 6éj do 8éj z wieczora. Na światło co będie kosztować złożymy się wspólnie; niewiele to wyniesie, złotówka na miesiąc nikogo z was nie zuboży. Korrepetytor i jego koledzy chętnie nauczycielstwa się podejmą, a tak założymy szkołę wieczorną. Czy zgoda?

— No na próbę przyszlę swoich młodszych terminatorów, odezwał się nie śmiało p. Stelmachewicz...

— To i ja przyszlę zawtorował któryś z majstrów, a za nim trzeci i czwarty.

— I racya! to chyba i mnie to trzeba zrobić, wykrzyknął p. Bótnicki... boć przecie nicem gorszego od innych i niemniéj pragnę pomyślności rzemieślników. Tylko to jakoś te szkoły nie widzi mi się, żeby pożytek przyniosły... chyba że w nich będzie subordynacya ogromna...

— Ale będzie... będzie niezawodnie, zapewniał p. Stanisław.

— A teraz za pomyślność naszego przedsięwzięcia i kochanego gospodarza zdrowie! podniósł Bótnicki.

— Dziękuję! dziękuję! wołał ściskając wszystkich p. Stanisław. Pójdźmy oświadczyć żonie mojéj nasz zamiar, będzie to najpiękniejsze dla niéj wiązanie.

---

## Różności.

W powiecie Piotrkowskim we wsi Kocieszowie. panna Kamila Wolska, testamentem przeznaczyła 120,000 złp. na podniesienie moralności włościan Kocieszowskich, wśród których wzrosła i całe życie przepędziła. Z téj summy przeznaczyła 50,000 złp. na szpital w Kocieszowie i pomoc lekarską; 25,000 złp. na utrzymanie i rozszerzenie ochrony w Kocieszowie już od lat kilku trwającéj; 8000 złp. dla starców, kalek i podupadłych mieszkańców w parafii; 4000 złp. na ochronkę w Piotrkowie mającą się urządzić; 8000 złp. pannie Ludwice Kincel, która dzieliła z nią trudy około ochrony Kocieszowskiéj. Zapis ten jest pięknym dowodem wzrostu uczuć braterskich dla włościan. Przekonać on powinien nie jednego włościanina o najlepszém dla nich usposobieniu obywatelstwa.

— W Redakcyi Czytelni od p. N. N. ze wsi Turnéj, złożono dla pp. Maryawitek w Częstowie rsr. 10.

**Prenumerata** wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 22 Grudnia 1861 roku.